

WYNIKI KONKURSU

Stąd  jestem!

I MIEJSCE

Józek

Stanisław Wawrzyszkiewicz

Józek był moim wujkiem. Szczyciłem się, że coś mnie z nim łączy. Nie tylko ja.

Kobiety mówiły, że był najprzystojniejszym chłopcem jakiego znały. Mężczyźni twierdzili, że nikt nie szukał przygód tak jak on.

Po szkole podstawowej poszedł do wadowickiego gimnazjum prowadzonego przez Pallotynów. Uciekł z niego po kilku miesiącach, bo „namawiali tam na księży”, a księżowskie życie wcale go nie pociągało. Naukę podjął w żywieckim ogólniaku. Uczył się tam dobrze, a z matematyki lepiej niż bardzo dobrze, skoro nauczyciele powierzali mu niekiedy prowadzenie lekcji. Był przekorny. W klasie maturalnej, oświadczył wychowawczynie, która właśnie motywowała klasę do lepszych wyników na pierwszy semestr, że on będzie miał na półrocze trzy oceny niedostateczne. Słowa dotrzymał.

Wiosną wpadł na pomysł, że ucieknie na Zachód. W Czechosłowacji zniszczył dokumenty i podając się za Cygana dotarł do granicy austriackiej, która okazała się przeszkodą nie do pokonania. Po kilku nieudanych próbach wrócił do Polski. Mimo dwutygodniowej nieobecności w szkole, zdał maturę bardzo dobrze.

Ukończył studium nauczycielskie, podjął pracę w wiejskiej szkole podstawowej, a po roku pracy zgłosił się do pallotyńskiego seminarium.

Seminarium źle znosił. Wolny ptak nie może dobrze znosić zamknięcia. Po święceniach został wysłany na dalsze studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wytrzymał tam kilka miesięcy. Powiedział, że studia teologiczne są marnowaniem czasu. Wystarczy mu to, co zawarte jest w Ewangelii.

Kilka lat pracował w Polsce i we Francji. Zawsze z młodzieżą. Następnie wyjechał do Mato Grosso w Brazylii. Kiedy opanował język portugalski na tyle, by prowadzić proste rozmowy, zapakował swój dobytek do plecaka i udał się do Amazonii. To miał być tylko urlop. Został na stałe.

Tyle się dowiedziałem od jego rodziny i szkolnych kolegów. Wyczekiwałem jego powrotu. Ciągłe pojawiały się jakieś przeszkody. Pieniądze, przeznaczone na podróż do Polski, dwa razy przeznaczył na zakup lekarstw dla Indian. Za trzecim razem jego przełożony zamiast pieniędzy, dał mu bilety na statek i samolot. Józek obydwie bilety sprzedał, by kupić lekarstwa. Po piętnastu latach dotarła do nas wiadomość o jego tragicznej śmierci. Odprawiano msze w jego intencji. Pół roku później okazało się, że ksiądz Józef jednak żyje.

Pojawił się po osiemnastu latach. Nie chciał występować publicznie, bo wstydził się swojej polszczyzny. A ja wstydziłem się do niego zagadać. Raz spotkaliśmy się wzrokiem i uśmiechnął się do mnie. Ruszyłem w jego stronę, ale na mojej drodze stanął proboszcz naszej parafii i zabrał Józka na plebanie.

Następnym razem przyjechał po pięciu latach. Jak tylko dowiedziałem się o jego powrocie, natychmiast poszedłem do niego.

Był upalny, letni wieczór, a on był w grubym, wełnianym swetrze, nogi okrywał kocem. Twarz miał żółta, policzki zapadnięte. Przywitał mnie szerokim uśmiechem i natychmiast zaproponował, abyśmy przeszli na „ty”. Zauważył, że dziwi mnie jego ubranie.

– Malaria. Już ósmy raz. Lekarz mnie przebadał i zdumiał się, że jeszcze żyję. Powiedział, że już dawno powinienem być tam – Wyciągnął do mnie dłoń i energicznie obrócił kciuk w dół. Roześmiał się. – Życie jest piękne, a ludzie są dobrzy. Jeszcze jakiś czas tu zostanę. Tak po raz pierwszy usłyszałem jego ulubione powiedzonko, z którego był znany wszystkim jego znajomym.

– Tu? – podchwyciłem.

– Moje „tu” jest w Amazonii. Tam jest mój dom i moja rodzina.

– Rodzina?

– Mam dziesiątki dzieci.

Takiego wyznania nie spodziewałem się. Józek roześmiał się.

– Nie martw się. Żadne nie poczęło się z moim udziałem. Mam chyba prawo nazywać je moimi dziećmi. Przecież ważniejszy jest ten, kto wychowuje niż ten, który płodzi. Spytałem, jak często spotyka się ze swoimi dziećmi.

– Teraz tylko raz w roku. Przyjeżdżają do mnie, do Novo Airao, na urodziny. To jest jedyny dzień w roku, kiedy nic nie robię. Kołyszę się tylko na werandzie w moim bujanym fotelu. Dzieci, którymi kiedyś się zająłem, od dawna już nie są dziećmi. Niektórym przewijałem pieluchy, a wszystkie uczyłem czytać, pisać i rachować, a przede wszystkim myśleć. Nie potrafię o nich myśleć inaczej jak o własnych dzieciach. Jestem z nich bardzo dumny. Każdy uczciwie zarabia na życie.

Kiedy siedzę na werandzie i patrzę na Czarną Rzekę, to często myślę sobie, że najlepiej byłoby, gdyby moim grobem stała się właśnie ona. W ten sposób oszczędziłbym moim dzieciom kłopotu z pogrzebem, a mięsożerne ryby miałyby łatwy posiłek. Może nie tak łatwy – roześmiał się – moje ciało jest już stare i twarde.

Przegadaliśmy pół nocy.

Następnym razem spotkałem się z nim na cmentarzu, nad grobem jego siostry, gdy po raz kolejny przyjechał na urlop. Podjął rozmowę, jakby cztery lata były krótką chwilą. Przy pożegnaniu dał mi numer komórki do jego misji w Novo Airao. Spytał, czy przyjadę do Amazonii. Chciał pokazać mi miejsca, które go zawsze zachwycają.

Zadzwoniłem do niego w nocy Bożego Narodzenia. Obliczyłem, że w Amazonii powinien być jeszcze dzień. W słuchawce usłyszałem męski głos. To nie był Józek. Spytałem po portugalsku o ojca Józefa. Nauczyłem się tego jednego zdania w tym języku. Domyśliłem się, że pójdzie go szukać. Patrzyłem z przerażeniem na zegar i liczyłem upływające minuty. Wreszcie usłyszałem w słuchawce zadyszany głos Józka. Cieszył się i przeproszał, że nie może długo ze mną rozmawiać, bo właśnie wyjeżdża odprawić trzecią mszę. Powiedział, żebym do niego jeszcze raz zadzwonił w połowie stycznia, by omówić szczegóły mojej podróży do Amazonii.

To była nasza ostatnia rozmowa.

Józek zmarł jedenaście dni później w szpitalu w Manaus. Nie spełniło się jego pragnienie, aby zniknąć w wodach Rio Negro. Pochowano go na cmentarzu w Novo Airao. Mieszkańcy miasteczka, którego był honorowym obywatelem, jeszcze nigdy nie widzieli tak wielu obcych ludzi. To były dzieci Józka. Przyjechały ze swoimi dziećmi.

II MIEJSCE

Stąd jestem!

Jan Boned Zys

Na imię mam Janek i mam 12 lat. Urodziłem się w Polsce, ale od zawsze mieszkam za granicą. Teraz mieszkam w Hiszpanii. Uczę się tutaj w szkole hiszpańskiej i w Szkole Polskiej przy Ambasadzie RP w Madrycie. Wcześniej przez kilka lat mieszkałem w Niemczech. Moja rodzina jest trochę mieszana, bo moja mama Ania jest Polką, a tata Jorge Hiszpanem. Mam też dwóch braci.

Bardzo lubię moją rodzinę w Polsce i jak tylko mogę to ich odwiedzam. Moi dziadkowie, Marysia i Bolek mieszkają w Środzie Wielkopolskiej niedaleko Poznania. Ich przodkowie pochodzili z Wielkopolski. Bardzo lubię słuchać opowiadań o nich. Najbardziej zaciekawiła mnie historia Klemensa Szczepańskiego, nauczyciela i żołnierza Armii Krajowej.

Klemens to tata mojej babci Marysi, dziadek mojej mamy Ani i mój pradziadek. Jego historia jest bardzo ciekawa. A było to tak...

Klemens urodził się w 1907 roku w Kłecku. Jego mamą była Leokadia, a tatą Wincenty, powstaniec wielkopolski z Kompanii Kłeckowskiej. Był z zawodu nauczycielem. Ożenił się z nauczycielką Seweryną Andrzejewską i zamieszkali w szkole w Gieczu, wiosce pomiędzy Środą Wielkopolską a Nekłą. Klemens został tam kierownikiem szkoły, a Seweryna pracowała też jako nauczycielka. Pradziadek bardzo lubił to miejsce, bo było ciekawie położone, na takich jakby górkach. Były tam też stawy, a on lubił łowić ryby. Zawsze mówił, że to miejsce jest tajemnicze. No i miał w sumie rację, bo potem odkryto tu Gród Pierwszych Piastów.

Klemens ukończył też Szkołę Podchorążych i uzyskał stopień podporucznika rezerwy. Gdy wybuchła II wojna światowa, poszedł na wojnę. Zabrał tylko zegarek od swojego taty i medaliki od swojej mamy. Seweryna została w Gieczu z małymi dziećmi – Miłozsem i Wojtkiem.

Jego oddział walczył z Niemcami i Sowiecami. We wrześniu 1939 roku został wzięty do niewoli przez Rosjan w okolicach Hrubieszowa. Sowieci kazali im oddać broni i powiedzieli, że będą mogli wracać do domu. Ale to okazało się kłamstwem. Szli, jak wytłumaczyła mi babcia, trójkami, na Wschód na pewną śmierć. Na szczęście Klemensowi udało się uciec. Jego kolega przy rewizji nie oddał granatu. Klemens powiedział mu, że ma go schować, bo może się przydać. No i się przydał... Pewnej nocy, gdy była duża mgła, a Sowieci zasnęli przy ognisku, obydwaj uciekli. Gonili ich Sowieci z psami, ale rzucili granat i na szczęście ich nie złapali..... Po wojnie pradziadek dowiedział się, że jego oddział dotarł na Wschód, a koledzy zostali zabici. Ich nazwiska odnalazł potem na Liście Katyńskiej...

Droga do domu była bardzo długa, trudna i niebezpieczna. Musieli iść nocami. Na szczęście po drodze pomagali im dobrzy ludzie. Babcia opowiedziała mi, że trafili do wsi Garbatka, gdzie mieszkał szewc. Wraz z żoną dali im pyszną zupę naworkę. Pamiętał jej smak

do końca życia. W domu szewca zostawili mundury i przebrali się za robotników. Podczas ucieczki pradziadek trzy razy uniknął aresztowania. Klemens miał ciemną twarz i włosy i z wyglądu przypominał Żyda. Babcia mi powiedziała, że w naszych żyłach płynie też trochę włoskiej krwi, bo babcia Klemensa (mama jego mamy Leokadii) Salomea Figetti pochodziła z Włoch i była na dworze hrabiny Żółtowskiej herbu Ogończyk w dworze w Nekli. Może dlatego miał taki inny wygląd. Uciekł Niemcom na moście, na rynku i w pociągu. Wtedy to jakaś Niemka w czasie kontroli powiedziała Niemcom, że jest jej synem.

W końcu, po wielu ciężkich tygodniach, w październiku, wrócił do Giecza. Rzucił piaskiem w szybę domu. Seweryna bardzo się przestraszyła, bo myślała, że to Niemcy. Gdy jednak ulubiony pies Klemensa, Lord, zaczął szczeekać i machać ogonem, to już wiedziała, że to nikt obcy. Klemens nie mógł jednak zostać w domu, bo było bardzo niebezpiecznie. Niemcy aresztowali inteligencję i dlatego musiał ukrywać się w wiatraku niedaleko Giecza w Dzierżnicy. Wrócił do domu dopiero gdy zrobiło się bezpiecznie.

Klemens choć był nauczycielem, musiał pracować jako robotnik drogowy, bo tak kazali mu Niemcy. Układał bruk. Dostał pracę u Niemca Reimera, który był dobry i pomagał Polakom. Jego żona Zofia była Polką. Pradziadek narażając życie, potajemnie nauczał polskie dzieci języka polskiego, matematyki i historii. Razem z prababcią działali w podziemiu. Chowali w domu polskie książki, ulotki i pomagali wielu Polakom.

Klemens działał w konspiracji pod pseudonimem Bruk I. W 1942 roku wstąpił do Armii Krajowej. Był dowódcą plutonu i podlegało mu 60 żołnierzy. Żołnierzom AK było jednak ciężko, bo brakowało im broni. Pomógł im polski rząd w Londynie. We wrześniu 1943 roku, czyli dokładnie 80 lat temu, w lesie w Janowie koło Środy Wielkopolskiej, dokonano zrzutu broni. Była to tajna akcja pod nazwą „Riposta”. Klemens brał w niej udział i był dowódcą jednej z grup. Pradziadek był zdenerwowany przed akcją. Mówił prababci, że noc jest za jasna i że akcja może się nie udać. Polacy mieli latarkami pokazywać samolotowi miejsce do zrzutu. Nocą nadleciał ogromny samolot HALIFAX Nr S-172 z brytyjską załogą. Była jasna noc i samolot długo krążył, aż w końcu spadły spadochrony ze skrzyniami z bronią. Polacy schowali je w lesie i poszli do domów. Jednak Niemcy dowiedzieli się o akcji, znaleźli brón i aresztowali 200 żołnierzy AK. W lesie w Janowie, postawiono pamiątkową kapliczkę. Odwiedziłem to miejsce z babcią. Kapliczka stoi obok pola, na które zrzuciono brón. Są też ustawione tablice z informacjami o zrzucie. Okoliczni mieszkańcy pamiętają o tym wydarzeniu bo zginęło tam wielu ich krewnych.

Klemens też został aresztowany. Babcia mówi, że ktoś na niego doniósł. Zabrano go do Poznania na Gestapo, a potem wysłano do obozu w Żabikowie – Poggenburg. Stamtąd napisał prababci kartkę pocztową po niemiecku, bo po polsku było zakazane. Kartkę tę ma moja babcia. Przeczytałem ją sobie i przetłumaczyłem, bo znam niemiecki. Pradziadek poprosił o mydło i pastę do zębów i wszystkich pozdrowił.

W Żabikowie był 7 tygodni. Dostał numer 77236 i uznano, że jest więźniem politycznym. Wszystko mu zabrali, udało mu się schować tylko medaliki. Był przesłuchiwany przez urzędnika niemieckiego. Kiedy zapytał o jego zawód, Klemens powiedział „Ich bin Lehrer” – „Ja jestem nauczycielem”. Urzędnik na to „Ich auch” - „Ja też”. Chwilę się zastanowił i wysłał go do Austrii, do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, do podobozu Loibl-Pass. Mówiono, że ten obóz nie jest taki straszny jak inne. Pracował tam w kamieniołomach w Alpach i z innymi więźniami musiał kopać tunel z Austrii do Jugosławii. W obozie Klemens był bardzo chory. Niemcy powiedzieli, że jak nie wyzdrowieje, to go zabiją. Myśleli, że to tyfus. Na szczęście

pomógł mu jeden z więźniów, czeski lekarz i Klemens wyzdrowiał. Z obozu napisał list do Seweryny, który do tej pory ma moja babcia. Udało się go odnowić w specjalnym zakładzie i można go odczytać. Ale to dziwne uczucie, bo miałem w rękach prawdziwy list z obozu koncentracyjnego z 1944 roku...

W maju 1945 roku powoli kończyła się wojna. Niemcy zaczęli likwidować obóz. Kazali więźniom iść piechotą 400 km do obozu Mauthausen. W czasie tego marszu partyzanci z Jugosławii zaatakowali Niemców i uwolnili więźniów. Niektórzy z nich dołączyli do partyzantów a inni, tak jak Klemens poszli na południe. Po drodze spotkali żołnierzy amerykańskich, którzy jechali wyzwolić obóz. Oni kazali iść więźniom dalej. W ten sposób Klemens dotarł do Włoch i wstąpił do 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych generała Andersa. Był w 13 Kompanii Warsztatowej koło Ankony.

W 1946 roku trafił do Anglii, gdzie był w obozach przesiedleńczych, a w 1947 roku wrócił statkiem do Polski. Przyplłynął do Gdańska. Przywiózł medaliki od mamy, które ukrywał całą wojnę. A zegarek udało mu się odebrać po wojnie z depozytu (prababcia Seweryna znalazła ogłoszenie w gazecie, że oddają rzeczy zabrane więźniom).

Po wojnie pradiadek został kierownikiem szkoły podstawowej w Nekli na wiele lat. Uczyła tam też Seweryna. Obydwoje zrobili bardzo dużo dla mieszkańców Nekli. Prowadzili świetlicę, chór, zespół tańca i bibliotekę. Babcia Marysia powiedziała mi, że jej tata grał na skrzypcach, lubił śpiewać i że kupował dla niej cukierki.

Po wojnie i po pobycie w obozach Klemens bardzo chorował. Umarł w 1964 roku. Miał tylko 57 lat. Seweryna dalej pracowała w szkole i zmarła 30 lat później. Ich dzieci Miłosz, Wojtek i Marysia też zostali nauczycielami.

Pradziadkowie są pochowani na cmentarzu w Nekli. Na grobie jest tabliczka "Tu spoczywa żołnierz AK". Mieszkańcy Nekli pamiętają o Klemensie. Ulicę, przy której znajduje się nowa szkoła, nazwali jego imieniem.

Kiedy jestem w Polsce jeżdżę też do Nekli na wakacje do dawnego domu pradiadków. Za domem jest park. Przechodzimy przez niego i idziemy na cmentarz zapalić lampki na ich grobie. Gdy jadę ze Środy do Nekli po drodze widzę miejsca związane z pradiadkami: szkołę w Gieczu, wiatrak, w którym ukrywał się Klemens, szkołę w Nekli.

Babcia Marysia opowiedziała mi tę ciekawą ale i smutną historię. Zobaczyłem też wszystkie pamiątki, które mają już kilkadziesiąt lat - zdjęcia, listy, numer z obozu, dokumenty, medaliki, zegarek, mundur. Wiele informacji znalazłem też w internecie. Z mamą poszukaliśmy wiele dokumentów w Archiwum Arolsen w Niemczech. Pomimo tego, że mieszkam tak daleko od Polski, to jestem dumny z tego, że mam takich przodków. Była to dla mnie niezwykła podróż do przeszłości. Teraz wiem, skąd jestem.

Janek

III MIEJSCE (Ex aequo)

Obce dzieci. Zawodowa rodzina zastępcza od środka

Martyna Banaszak

Wielu ludzi, chcąc znaleźć inspirującą postać w swojej rodzinie, zagłębia się w drzewo genealogiczne i poszukuje królów, rycerzy, powstańców czy innych uhonorowanych przodków. Choć nawiązanie kontaktu i poznanie swoich rodzinnych bohaterów jest dla nich niemożliwe ze względu na upływ czasu, ubarwiają ich historie, wykorzystując różnorakie epitety, porównania oraz inne hiperbolizujące zabiegi stylistyczne. Nie znają ich osobiście, więc opowieści o krewnych zawsze są obarczone błędem subiektywizmu. Czytając tego typu historie, nie powinniśmy zatem być zbyt łatwowiernymi.

Moim bohaterem eseju, a raczej bohaterami, będą moi dziadkowie, nie Elżbieta i Wiesław, a po prostu babcia Ela i dziadek Wiesiu. Uważam, że szesnaście lat, w czasie których miałam okazję ich poznawać i wyrobić swoją opinię, jest wystarczającym czasem, aby naświetlić swój punkt widzenia.

Babcia i Dziadek mieli czworo własnych dzieci i dziesiątki wychowanków. Prowadzili zawodową rodzinę zastępczą przez ponad dwadzieścia lat. Nie miałam więc szansy posiadania ich na wyłączność. Dom dziadków zawsze był pełen dzieci, pełen życia. Z moich dziecięcych wspomnień był miejscem, w którym każdy walczył o trochę więcej uwagi dla siebie z ich strony. Ja, moje kuzynostwo i... obce dzieci. Nigdy nie byłam pewna jak nazywać dzieci, które trafiały do domu moich dziadków, którzy często traktowali je jak swoje. W końcu nie były moją rodziną. Przypięłam im jednak łatkę kuzynostwa. Można więc liczyć, że mam ponad stu kuzynów. Każdy z własną historią i problemami. Niektórych znam dość dobrze, innych w ogóle. Może czasem mijam kogoś z nich, kiedy idę ulicą.

Najczęściej wychowankowie nazywali ich ciocią i wujkiem, choć w przypadku młodszych nieraz przez ich usta przeszły słowa "mama" i "tata", w końcu każdy chce mieć rodziców. Babcia i Dziadek nie zakazywali im tak mówić, otaczali ich rodzinną miłością i troską. Byli dla nich rodzicami, których część dzieci często nie miała. Babcia Ela i dziadek Wiesiek byli przede wszystkim kochającym się małżeństwem. Poznali się, gdy mieli 14 i 18 lat i od tego czasu byli nierozłączni aż do śmierci. Chciałabym kiedyś poznać mężczyznę, który patrzyłby na mnie z taką miłością jak dziadek na babcie.

Rodzina zastępcza to praca całodobowa. Wydaje mi się, że w pewnym momencie dla moich dziadków praca ta stała się stylem życia. Nie do końca potrafiłam odnaleźć się w tej rzeczywistości, choć powinna być ona dla mnie normalnością, nie znałam w końcu babci i dziadka, którzy nie byłiby otoczeni gromadką obcych mi genetycznie dzieci.

Jeśli ktoś pomyśli, że robili to dla pieniędzy, osobiście go zbesztam. Prawda jest taka, że na początku ledwo starczyło im na podstawowe potrzeby, a im więcej dzieci, tym były one

większe. Jedzenie, ubrania, leki... Momentami w domu dziadków mieszkało nawet 15 osób naraz. Zrobienie obiadu czy prania stawało się logistycznym wyzwaniem. Nie wspominając już o porannej kolejce do toalety. Praca ta odbiła się na wszystkich członkach naszej rodziny. Z zewnątrz bowiem wygląda to cudownie. Dawanie rodzinnego ciepła dzieciom, które nie zaznały go w swoich domach. Gdzie jest w tym wszystkim miejsce na własne dzieci i wnuki?

Rodzina zastępcza nie dotyczy wyłącznie osób, które ją prowadzą, dotyczy również wszystkich bliskich. Tak samo jak żołnierz, który idzie na wojnę i oddala się od swoich krewnych, tak samo jak król zajęty swoją pracą nie ma czasu na przyziemne sprawy, tak samo babcia i dziadek, chcąc dać wszystko swoim wychowankom, zaczęli zbliżać się do nich, a oddalać od nas.

Jak już wspomniałam, posiadali czworo własnych dzieci, między dwojgiem starszych, a dwojgiem młodszych, jest aż 20 lat różnicy. Moja ciocia i wujek również nie znają życia bez brzemienia rodziny zastępczej. Dzielili pokoje z wychowankami, walczyli między sobą o słodycze, o uwagę swoich rodziców, o odrobinę spokoju, o oderwanie się od rzeczywistości, która była zupełnie inna niż ich rówieśników. Dziadkowie, zakładając rodzinę zastępczą, dali dziesiątkom dzieci rodzinne ciepło, jednocześnie odbierając standardowe dzieciństwo swoim własnym dzieciom.

Chciałabym, aby ci wszyscy ludzie, którzy mówili mi, że to ogromne szczęście mieć takich dziadków, weszli w moje buty. Często to, co piękne z zewnątrz, gnije od środka. Kochałam i kocham moich dziadków, choć są kwestie, których nigdy nie będę w stanie im wybaczyć.

Dziesięć lat temu wzięli pod swoją opiekę dziewczynkę z zespołem Downa. Wydaje mi się, że ta decyzja najwięcej "namieszala" w naszym życiu. Dziecko wymagało stałej opieki, jednak to, co przerażało mnie najbardziej, to postawa babci wobec dziewczynki.. Zaczęła traktować ją jak własną córkę.

Pandemia była wyjątkowo niebezpieczna dla osób starszych, a tym bardziej osób starszych mieszkających z dziećmi. Wielu ludzi może uważać za nieuchronne to, co się stało. Moi dziadkowie zachorowali i pomimo swojego krytycznego stanu, zostali w domu, zajmując się tym, co dla nich było najważniejsze - dziećmi. Myśleli tylko o nich, gdzie się znajdują, kiedy oni wyładują w szpitalu. Choć mój tata i jego brat, dowiedziawszy się o ich stanie zdrowia, od razu wezwali karetkę, był to ostatni raz, kiedy Babcia i Dziadek widzieli swój dom.

Babcia zmarła dwa tygodnie po trafieniu do szpitala, dziadek leżał prawie trzy miesiące w śpiączce. Miesiąc po przebudzeniu również pożegnał się z nami. To był ciężki czas dla nas wszystkich. Zrozumieliśmy, że już nigdy nie poznamy życia, jakie toczylibyśmy, gdyby dziadkowie zrezygnowali z rodziny zastępczej. Nigdy nie poznam babci i dziadka, których miałabym tylko dla siebie.

Cmentarz był wypełniony po brzegi na obu pogrzebach, kwiaty składali krewni, przyjaciele i osoby, które widziałam po raz pierwszy. Ludzie, których dziadkowie pragnęli odwiedzić, ale nie starczyło im dni.

Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy siedziałam z najbliższymi przy jednym stole po pogrzebie babci. Wtedy wszyscy płakaliśmy, wtedy jeszcze mieliśmy siłę płakać, nawet mój tata nie powstrzymywał łez. Po pogrzebie dziadka już nie płakaliśmy, nie dlatego, że nie otaczał nas smutek. Po trzech miesiącach nadziei i walki, nie mieliśmy już sił płakać, a ja wiedziałam, że kiedy moje oczy się osuszą, to będzie oznaczało, że już koniec, a dla mnie dziadek nadal żył.

Dziadkowie byli i są bohaterami. Bo tacy właśnie są bohaterowie, z zewnątrz ich dokonania są niesamowite, gloryfikujemy ich i ozłacamy, jednak bliscy im ludzie muszą zmierzyć się z ciemną stroną, towarzyszącą tym honorowym odznaczeniom. W mojej pamięci ukształtował

się ich wizerunek jako zawsze uśmiechniętych. Bo tacy byli. Choć los rzucał im pod nogi kłody, nie dało im się zetrzeć z twarzy uśmiechów. Nie należę do osób silnie wierzących, ale doskonale pamiętam słowa księdza na pogrzebie. Mówił, że Babcia i Dziadek przyjmowali Boga w każdym dziecku i dzięki temu teraz czeka ich wieczny odpoczynek.

Poświęcili swoje zdrowie, relacje z własną rodziną, swój dom dla obcych dzieci, które traktowali jak swoje. Są bohaterami, o których powinien usłyszeć każdy.

III MIEJSCE (Ex aequo)

Ogród wspomnień mojej Babci, Dorothy Dantzer

Dorota Dąbrowska-Dantzer



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

III MIEJSCE (Ex aequo)

Tereska

Dominik Nogala



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

III MIEJSCE (Ex aequo)

Stąd jestem

Anna Rutkowska



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

III MIEJSCE (Ex aequo)

Stąd jestem!

Carlos Boned Zys



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

III MIEJSCE (Ex aequo)

O Zofii i Tadeuszu, czyli o moich korzeniach

Michał Knopik

Korzenie są ważne. Bez nich trudno trzymać się podłoża i pobierać z niego to, co niezbędne do przetrwania. Zazwyczaj jednak widzimy roślinę bez korzeni, które schowane są przed wzrokiem głęboko w ziemi. Prawda, jak pisał wielki filozof, lubi się skrywać. Ale literatura powinna, jak kret, wchodzić w głębię i wydobywać na światło dzienne autentyczność – budować takie krecie kopce sensu. Przyjrzyjcie się, Drodzy Czytelnicy, mojemu kopcowi. Nie zasypujcie go zbyt szybko, nawet jeśli macie inną wizję piękna waszego ogrodu. Takie są moje korzenie nie pozwolę ich sobie wyrwać!

Nad Opoczmem zbierały się gęste chmury smogu. Ludzie palili, czym popadnie, a mróz nie odpuszczał. Dochodziła północ. Latarnie dawno zgasły, a miasto zasnęło. Sypał delikatny śnieżek, który po kilku godzinach zamierzał przerodzić się w śnieżycę. We wszystkich domach dzieci wtulone w swoje poduszki wyczekiwały Mikołaja, który nadejść miał z rana i obdarować ich prezentami. Prężyły się stopy polukrowanych pierników, a w radio całą dobę nadawano świąteczne melodie. Znamy to, prawda? Wszechobecne szczęście wylewające się z polskich domów niczym rzeka miłości zatapiająca nawet najbardziej zatwardziałe smutki i dąsy. Oto kolejna rocznica narodzin Zbawiciela – znów stanie się cud, a nadzieja i radość zagospodzą w naszych duszach.

Nie każdy jednak w Opocznie mógł sobie pozwolić na świętowanie. Pani Ela miała zbyt wiele na głowie, by móc poddać się tej corocznej magii. Za wiele złego ostatnio się działo w jej życiu i nie dało się tego odłożyć na margines bezmyślenia i zapomnienia. Nie miała męża, który wsparłby ją w trudnej chwili. Odszedł nieoczekiwanie kilkanaście lat temu. Zostawił po sobie podupadający biznes oraz długą listę niezłatwionych spraw, którymi wdowa musiała się zająć. Na szczęście miała czworo wnucząt, które kochała nad życie. Wnukowie odwzajemniali to uczucie w pełni – była dla nich babcią z prawdziwego zdarzenia: rozpieszczała, ale również ciągle motywowała do rozwoju, gdyż najszczerzej na świecie zachwycała się każdym, nawet najmniejszym ich osiągnięciem. Nikt, tak jak ona, nie płakał podczas ich scenicznych występów i wykrzykiwał ochy i achy, kiedy próbowała przygotowanej przez nich kanapki. Po prostu babcia-marzenie, babcia-balsam, babcia-troska, babcia-kibic...

Od miesięcy głowa Elżbiety nie mogła jednak wyluzować. Jej rodzice, już po 90., bardzo podupadli na zdrowiu i z dnia na dzień przestali radzić sobie z codziennością. Cudowni staruszkowie. Zawsze byli obowiązkowym punktem wizyty prawnucząt. Starodawny dom z dwoma pięknymi duszami, dla których rodzina była wszystkim. Największą radością. Dlatego każde z prawnuków starało się osiągnąć jak najwięcej sukcesów, by z dumą móc o nich opowiadać swoim kochanym pradziadkom: Zofii i Tadeuszowi.

W zamian mogli liczyć na ich wspomnienia. Dziadkowie lubili opowiadać – a nikt nie opowiadał lepiej niż oni. W końcu przeżyli prawie wiek, i to jak trudny wiek. Wojna, potem komunizm, a następnie gwałtowna zmiana systemu i gigantyczny postęp technologii, w której nie potrafili się odnaleźć. Ale próbowali... Babcia Zofia z przyjemnością testowała nowe modele bezprzewodowych telefonów i za każdym razem nie mogła wyjść z podziwu, że współczesny człowiek jest taki pomysłowy. Dziadek Tadeusz od współczesności wołał wspomnienia.

– I wtedy się pojawili... Wiedziałem, że to zły znak, ale postanowiłem stawić im czoła

– Naprawdę, dziadku? Jakim cudem przeżyłeś? – dziwiła się wtedy Hana, najmłodsza z wnuków pani Elżbiety.

– Okazało się, że to przyjaciele z nowiną. Warszawa została zdobyta. I mieliśmy kreta... Takie to opowieści miał w zanadrzu pan Tadeusz. Oprócz tego kochał rozdáwać słodczyce...

– Michał, mizernie wyglądasz! Poczekaj, dam ci jakieś ciastko!

– Nie dziadku, nie trzeba!

– Oj trzeba, trzeba! Jesteś u dziadka... A dziadkowie są od rozpieszczania!

Babcia Zofia natomiast była prawdziwą gwiazdą rodziny – niezłomną opiekunką starszego od niej nieco pana Tadeusza oraz oddaną matką, babcią i prababcią. Każdy członek rodziny miał założoną w jej głowie swoistą kartotekę, w której zapisywała z precyzją kronikarza kolejne wydarzenia z ich życia. Niesamowita pamięć Zofii budziła zazdrość młodszych pokoleń rodziny. Przynajmniej nikt nie miał wątpliwości, do kogo trzeba zwrócić się, aby wyjaśnić kulisy jakiegoś zdarzenia sprzed kilku dekad lub określić koligację rodzinne z niejakim Zbyszkciem zza młyna lub z tajemniczymi dwoma ciotkami ze Staromiejskiej.

Babcia Zofia miała wewnętrzny instynkt, który podpowiadał jej, kiedy może swoim wnukom i prawnukom opowiadać o wojnie. Dla dziecka był to dowód, że w oczach babci jest już wystarczająco dojrzała, aby sprostać wyzwaniu i wysłuchać pięknej, ale jednocześnie bolesnej historii rodziny rozgrywającej się równoległe do losów Europy i świata. Zdziwiła wyrażność wspomnień babci Zofii. O wydarzeniach, w których uczestniczyła gdzieś między Kielcami a Radomiem jako siedmiolatka, mówiła jak o faktach sprzed roku. Zawsze płakała, kiedy wspominała małżeństwo młynarzy zamordowane na jej oczach za pomaganie Żydom. Wtedy prosiła słuchaczy, aby ich pokolenie nigdy nie doprowadziło do wojny, cierpienia i prześladowania kogokolwiek. Powtarzała, że widziała Zło z każdej strony i wie, że czasem sprawia wrażenie Dobra, mając tym samym sumienie człowieka. Dlatego trzeba kilka razy zastanowić się nad swoim działaniem i skutkami, jakie ono może spowodować. Bywa, że dobro wybrane przez jednego człowieka jest tylko jego dobrem, a szkodzi innym. Babcia Zofia nie moralizowała, ale opowieściami ze swojego życia, doprowadzała do sytuacji, w której słuchacz sam miał wyciągnąć wniosek. Ona tylko go wzmacniała swoim „a no właśnie!”.

Lecz wszystko, co dobre, z czasem się psuje – tak działa biologia i czas, niestety. I nadeszło to w najgorszym możliwym momencie – miesiąc przed świętami.

– Gośka! Ktoś dzwoni! Obierz proszę! – zawołała z kuchni pani Elżbieta do swojej córki.

– Dobrze, już lecę!

Odruchowo wzięła na głośnomówiący.

– Cześć, tutaj Bogdan – odezwał się głos w słuchawce – Babcia się przewróciła! W nocy chciała pójść do łazienki i wyrzuciła się o próg... Dziadek spanikował i nie wiedział, co robić. Właśnie trwają badania w szpitalu. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek wstanie.

Od teraz wszystko stało się jasne – seniorów rodu nie można zostawić samych, nawet na chwilę. Dziadek już prawie nie kontaktował, babcia nie mogła wstać.

Pani Elżbieta musiała zorganizować opiekę nad swoimi rodzicami i zrobić wszystko, aby jej mama mogła znów samodzielnie chodzić. Wiedziała, że kto jak kto, ale jej rodzicielka, bez ruchu załame się i całkowicie podupadnie na zdrowiu.

Wigilia. Była już ósma nad ranem, gdy cała rodzina zjawiała się u pani Zofii i pana Tadeusza. Okazało się, że babcia jest w ciężkim stanie. Ledwo oddycha. Nawet zaczęła chodzić ze specjalnym balkonem, lecz dziś nie miała siły. Trudno było rozpoznać w niej tę dawną siłą i bez przeszkód pracę do przodu kobietę.

Gdy wszyscy zasiedli do wigilijnego stołu, pani Zofia zarządziła, by odśpiewać kolędy. Swoim piskliwym, ledwo zipiącym głosem zaczęła „Bóg się rodzi”, lecz pani Elżbieta zabrała ją do sypialni, by trochę odpoczęła. Wtem zaświeciła pierwsza gwiazdka. Zgromadzeni, widząc ją, zaczęli się modlić. Jedynym prezentem, jakiego oczekiwali było zdrowie pradziadków.

Ktoś zapukał do drzwi. Lokalni kolędnicy zaczęli umilać wieczór gościom. Wkrótce przyszedł też ksiądz, zaniepokojony stanem zdrowia pani Zofii. Pomodlił się za jej długie życie, błogosławiąc też pana Tadeusza, który w obliczu ostatnich wydarzeń, zamknął się sobie i chyba całkowicie już stracił słuch.

Gdy kolędnicy i ksiądz wyszli, drzwi się ponownie uchyliły i zrobił się przeciąg. W mig wszystko zrozumiano – oto przybył zbląkany wędrowiec. Ugościli go jak domownika i zabrali się za pałaszowanie potraw i rozmowy. Przybysz zapytał o panią Zofię, a słysząc o jej stanie zdrowia pobiegł do sypialni i zaczął się modlić. Około godziny dziesiątej wyszedł z domu i udał się w dalszą drogę.

Pani Elżbieta była wdzięczna za to, że kolejna wigilia była taka ciepła i rodzinna, jak zawsze, lecz jednocześnie zdruzgotana brakiem poprawy stanu jej matki. Jakże się więc zdziwiła, gdy po raz kolejny otworzyły się drzwi i wleciał wiatr. Leciał płynnie, prosto w kierunku drzwi sypialni.

– Rany boskie! Co tu się dzieje? – zdziwiła się pani Elżbieta.

Drzwi sypialni się otworzyły. Wiatr omiótł panią Zofię, po czym... wstała, jak gdyby nigdy nic podeszła do stołu:

– Witam towarzystwo! Ja mam się świetnie, lepiej niż za starych lat! Czuję, że zostałam uzdrowiona... Dziękuję wam bardzo za modlitwę w moim imieniu, a Tobie, Panie – tu się przeżegnała – za to, że podarowałeś mi drugie życie.

– Ja również wam dziękuję! Boże, ja słyszę kolędy! – zawołał radośnie pan Tadeusz, dotychczas niedosłyszający.

Po tych słowach wybuchła prawdziwa ekstaza. Biesiadnicy przytulali się, dzielili się opłatkiem i miłością, ściskali panią Zofię i pana Tadeusza. I jedno jest pewne – te Święta na zawsze pozostaną dla bohaterów tej historii niezapomniane.

Ot, magia Bożego Narodzenia... Nieoczekiwany zwrot akcji, gdy wszystko ma się już ku końcowi... Gdy życie chciałoby wyświetlić swoje napisy końcowe, akcja zaczyna nabierać rozpędu.

Ot, magia wyobraźni... Niech się więc stanie! Niech rzeczywistość choć raz skopiuje słowa, a nie na odwrót. Tak wiele osób czeka na rozmowę z panią Zofią i panem Tadeuszem...

Kiedy pisałem powyższy esej z motywami opowiadania, bardzo martwiłem się o zdrowie moich pradziadków. Brakowało nam wiary, że nastąpi przełom, więc chciałem stworzyć taki świąteczny nośnik nadziei. I udało się! Pradziadkowie są wciąż z nami. A literatura po raz kolejny udowodniła swoją moc ocalania i troski. Troski o korzenie – bez nich uschniesz.

III MIEJSCE (Ex aequo)

Józef Bazan – mój pradziadek

Konrad Zaleski

Od dziecka byłem karmiony różnymi rodzinnymi historiami. Jako niczym nie wyróżniające się od innych dziecko nie przejawiałem dużego zainteresowania historiami rodzinnymi. Był jednak pewien wyjątek w postaci losów życia mojego pradziadka – Józefa Bazana. Wśród sąsiadów i znajomych rodziny pradziadek był osobą szanowaną z nienaganną postawą. Miało to jeszcze początek w okresie międzywojennym, kiedy dziadek jako „złota rączka” pomagał wielu ludziom. W domu natomiast pradziadek był dobrym i wymagającym ojcem. Był też człowiekiem z zasadami, bowiem kiedy do naszych drzwi po wojnie przyszli komunistyczni komisarze Pradziadek odmówił członkostwa w partii, które dałoby wówczas polepszenie stopy życiowej rodziny. Pradziadek ponadto znacząco rozbudował gospodarkę, która w chwili jego śmierci była jedną z najlepiej prosperujących w gminie. Dzisiaj jest już ponad pół wieku od czasów śmierci pradziadka, mimo to każdy na wsi pamięta kim był Józef Bazan.

Józef Bazan, mój pradziadek oficjalnie urodził się 15 lutego 1897 r. w małej wsi Nowosiółce Koropieckiej, dawnym zaścianku położonym w powiecie buczackim ówczesnych Austro-Węgier. Ojcem pradziadka był Grzegorz Bazan, chłop wyznania greckokatolickiego, a matką Józefa Biernacka herbu Sas, zubożała szlachcianka wywodząca się ze szlachty zagrodowej o wołoskim pochodzeniu. Trzy dni po urodzeniu pradziadek został ochrzczony w Kościele pw. Św. Mikołaja w Koropcu nad Dniestrem przez miejscowego proboszcza.

Życie mieszkańców Nowosiółki Koropieckiej, w tym Józefa Bazana przewróciło się do góry nogami, kiedy w 1914 r. wybuchła wojna między zaborcami trzymającymi Polaków od ponad wieku w żelaznym uścisku niewoli. Tak wybuch wojny wspominał w swoich pamiętnikach kuzyn żony Józefa Bazana, Piotr Hładkiewicz: „W niedzielę 1-go sierpnia 1914 r. cała wioska wyszła na tlokę gminną by tam pożegnać swoich synów, ojców, mężów i bliskich na długie lata a może na zawsze. Pogodny dzień, ale słońce w tym dniu świeciło jakoś inaczej. Jakiś smutek zaciążył razem z dzisiejszym porankiem, jakby zapowiedź nieszczęść i lez dla tych co dzisiaj się żegnają. Każdy jeszcze żyje nadzieją, a może to potrwa niedługo. Przecież Serbia to małe państewko. Nie przypuszczali, że to początek wielkiego konfliktu światowego, że pociągnie szereg państw, że rozpocznie się wielka tragedia światowa.”. Wówczas pradziadek nie był powołany do wojska, gdyż wtedy jeszcze najmłodszym rocznikiem poborowym był 1892 r., jednak już 24 maja 1915 r. na front został powołany rocznik 1897 r. Wtedy zapewne Józef Bazan trafił do 95. Galicyjskiego Pułku Piechoty. Według informacji zapisanych w austriackiej Verlustliste nr 552, gdzie pradziadek został wymieniony wśród rannych można się dowiedzieć, że był żołnierzem tzw. pospolitego ruszenia oraz obsługiwał ciężkie karabiny maszynowe. W opublikowanej 11 kwietnia 1917 r. Verlustliste pojawia się informacja o Józefie Bazanie z Nowosiółki Koropieckiej. Był on wówczas ranny w wyniku działań wojennych. Co

ciekawe, w tym spisie jako data urodzin pradziadka został podany 1896 r. Czyżby Józef chciał iść na wojnę i dlatego się postarzył? Czy był to tylko błąd urzędnika sporządzającego ten spis? Prawdą jest jednak to, że to nie jest pierwszy raz kiedy pradziadek miał zmienianą datę urodzenia.

Inną ciekawą pamiątką z czasów I wojny światowej jest zdjęcie pradziadka z tego okresu. Na zdjęciu tym pradziadek nosił mundur M. 1915, stopniem Józefa był Gefreiter czyli nasz odpowiednik starszego szeregowego. Na piersi Józefa dosyć wyeksponowany jest Krzyż Wojskowy Karola, czyli austriackie odznaczenie nadawane od 13 grudnia 1916 r. za wzięcie udziału w walkach oraz spędzeniu na froncie pół roku. Warty zwrócenia uwagi jest również sznur na szyi, który przypomina typowy dla rewolweru Rast & Gasser oraz odznaka kołnierkowa kragenabzeichen. Mając te informacje można dojść do wniosku, że zdjęcie zostało wykonane w 1917 r. Według wspomnień córki Józefa Bazana, Bronisławy Paszkiewicz: „Po tym, jak Tato został ranny w 1917 r. został przeniesiony na front rosyjski do Lwowa. Kiedy wybuchła wojna polsko-ukraińska uczestniczył w obronie Lwowa”. Ciekawą rodzinną historią z tego czasu jest ta mówiąca o tym, że pradziadek podczas pobytu w jednym ze szpitali we Lwowie modlił się ciągle do wiszącego nad nim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Według zeznań pradziadka Matka Boska go wysłuchiwała i wyzdrowiał akurat 1 listopada 1918 r., kiedy od razu chwycił za karabin i bronił polskość Lwowa. Finał tej historii jest taki, że po zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją pradziadek wrócił do tego szpitala i wydobył ten obraz, który do dzisiaj jest w naszej rodzinie. Nie są znane dalsze losy pradziadka w konflikcie z ukraińską Zachodnioukraińską Republiką Ludową.

Dalszy udział pradziadka w wojnie z bolszewicką Rosją jest właściwie jedną wielką legendą. Według opowieści rodzinnych w sierpniu 1920 r. pradziadek trafił pod Warszawę, gdzie obsługiwał karabin maszynowy. Podczas jednej z potyczek pradziadek został otoczony przez czerwonoarmistów i wówczas postrzelony w bok i nogę padł nieprzytomny. Został wtedy okradziony z dokumentów przez czerwonoarmistę. Po jakimś czasie jednak prowadzona przez Polaków kontrofensywa odbiła pozycje, gdzie leżał nieprzytomny pradziadek. Trafił on wówczas do szpitala polowego. W dalszej kolejności czerwonoarmista, który okradł pradziadka z dokumentów miał być złapany w niewolę, podczas przesłuchania miał przekazać, że dokumenty jakie ma są po zabitych Polakach. Wtedy do Nowosiółki miał wyruszyć list z informacją o śmierci pradziadka. Józef Bazan jednak szybciej doszedł do siebie i wrócił do domu. Jako niefortunna pamiątka do końca życia towarzyszyło pradziadkowi to, że kulął na lewą nogę. Po powrocie z wojny pradziadek wrócił na swoje gospodarstwo, gdzie czekał na niego jego ojciec, Grzegorz. Tam niedługo potem pradziadek wziął ślub z Joanną Piotrowską herbu Junosza, córką ułana armii A-W oraz wnuczką wieloletniego wójta Nowosiółki Koropieckiej. Z tego związku urodziło się 5 dzieci, w tym mój dziadek.

Tak lata międzywojenne w Nowosiółce Koropieckiej wspomina córka Józefa Bazana, Bronisława Paszkiewicz: „Rodzice bardzo ciężko pracowali. Tato, jak jesienią wszystko zebrał z pola, wtedy zimą robił podkłady na kolei. Zresztą tato miał złotą rączkę do ciesielki i potrafił wszystko zrobić. Kiedyś zrobił nam piękny wózek, do którego zaprzęgliśmy kozła i chcieliśmy zjechać z górki. Skończyło się na tym, że wypadliśmy z wózka, a uciekający kozioł roztrzaskał wózek. Tato głównie uprawiał tytoń i suszył go potem. Za suszony tytoń dostawał sadzonki drzew owocowych, z których posadził piękny sad. Jego podstawą były jabłonie. Oczywiście były także czereśnie, wiśnie, śliwki, ale to jabłka były najpiękniejsze i było ich najwięcej.”

Od dnia 1 lipca 1925 r. pradziadek został awansowany na Podporucznika Rezerwy Wojska Polskiego, co zostało odnotowane w Roczniku Oficerskim Rezerwy wydanym w 1934 r. Co ciekawe jako rocznik urodzenia dziadka wpisano 23 lutego 1898 r.

Po raz drugi sielanka się skończyła 1 września 1939 r. Czasy te były wspominate w rodzinie z dużym żalem. Pradziadek mimo iż nie był objęty poborem (pradziadek był z 1897 r. a najstarszy rocznik poborowy do 1899 r.) to jako oficer rezerwy został powołany do wojska. 18 września o poranku do Nowosiółki wkroczyła Armia Czerwona. W styczniu 1940 r. pradziadek w końcu przybył do domu. Cały był brudny, zarośnięty i chodził w łachmanach. Z jego opowieści można było się dowiedzieć, że pradziadek walczył w lasach pod Lwowem, ale zanim zdążyli się wycofać do Lwowa miasto upadło. Wówczas żołnierze zostali zdemobilizowani i otrzymali ostatni rozkaz nakazujący im wracać do domów.

Życie w trakcie wojny w czysto polskiej Nowosiółce było niebezpieczne. Z jednej strony represje władz okupacyjnych, a z drugiej antypolskie akcje partyzantów OUN-UPA. Apogeum akcji antypolskiej miało miejsce w 1945 r., kiedy to w nocy z 12/13 lutego banderowcy zaatakowali oddalone o 3 kilometry od Nowosiółki - Puźniki. Tej nocy w Puźnikach zginęło ok. 100 osób. Natomiast postawę pradziadka tamtej nocy tak wspominał jeden z żołnierzy polskiej samoobrony – Zygmunt Szafranski: „W oddziale byłem też ja oraz moi koledzy. Mieliśmy po 16, 17 lat. Oddziałem dowodził Józef Bazan (...). Siedzieliśmy na skraju wsi i po dwóch chodziliśmy na wartę. Gdy coś się działo, wtedy we wsi rozbrzmiewał gong, to była łuska artyleryjska powieszona na słupie. W nocy 13 lutego o drugiej w nocy poszedłem na wartę z młodszym ode mnie o kilka lat Jankiem Hędzlem. (...). I w tym samym momencie patrzmy się, a nad Puźnikami unosi się ogromna ognista łuna. Nasz oddział poszedł na drogę w stronę Puźnik i czekał. (...). W dali było widać, że ktoś zbliżał się z Puźnik. Józef Bazan zaczął krzyczeć, żeby nie strzelać, bo to mogą być uciekinierzy?”. Rzeczywiście, byli to uciekinierzy z Puźnik.

W następnych dniach pradziadek opuścił Nowosiółkę na zawsze. Do czasu swojego transportu na zachód pomagał wyjeżdżającym, w tym głównie osobom starszym i schorowanym na dworcu w Pyszkowcach, skąd jesienią pradziadek z rodziną wyjechał do Krzeszyc na zachodzie Polski. Tam też pradziadek zajął gospodarstwo rolne we wsi Zaszczytowo. W pierwszym roku na nowych ziemiach Józef miał nadzieję na powrót do Nowosiółki. Po kilku latach zrozumiał, że jest to niemożliwe.

Pradziadek zmarł we wrześniu 1968 r. Na nagrobku jako datę urodzin wpisano 24 lutego 1897 r. Więc po raz kolejny, tym razem ostatni przekreślono tę datę.

Pradziadek był niewątpliwie silnym mężczyzną na ciężkie czasy. Potrafił zadbać o rodzinę, ale przy tym wypełniał obowiązek wobec miejscowej zbiorowości i Państwa. Jego postawa była zaiste gorliwie patriotyczna i godna naśladowania. Głęboko liczę, że obecne czasy pokoju będą trwałe jak najdłużej, ale jeżeli nastąpiłyby czasy ciężkie, to chciałbym prezentować taką postawę jak mój pradziadek.

Pozakonkursowe wyróżnienie Jury Instytutu Staszica

Józefa Błaszaka świadectwo

Eryk Błaszak



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

Pozakonkursowe wyróżnienie Prezes Instytutu Staszica

Wspomnienie o Eugeniuszu Wróblu

Maria Wilgus

Mój Tata mimo rozlicznych obowiązków zawsze znalazł czas na to, aby porozmawiać z nami, swoimi dziećmi. Miał przy tym ogromną cierpliwość, nie unosił się emocjami, ale w prosty i logiczny sposób wykladał swoje racje. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o roli korzeni w życiu człowieka. Jako młoda dziewczyna dowodziłam, że w dzisiejszych czasach nie ma znaczenia, skąd dany człowiek pochodzi i gdzie się wychowywał. Miał przeciwne zdanie. Widać było, że temat jest dla Niego bardzo ważny i osobisty. Dziś nie pamiętam słów, jakich użył, żeby mnie przekonać, ale wystarczy spojrzeć na całe jego życie i działalność publiczną, aby zrozumieć czym dla Niego były korzenie i związana z nimi tożsamość.

Po upadku komunizmu w Polsce, w latach 1990-1995, był wicewojewodą katowickim, a w latach 2005-2007 – wiceministrem infrastruktury. Z jego inicjatywy i pod jego kierunkiem powstało oraz rozwinęło się Górnośląskie Towarzystwo Lotnicze S.A. w Katowicach, które w 1994 roku objęło zarząd nad Międzynarodowym Portem Lotniczym „Katowice” w Pyrzowicach. To śląskie lotnisko było mu szczególnie drogie i przez całe życie walczył o kluczowe sprawy z nim związane. Jest ono pewnym symbolem obrazującym sposób jego myślenia – chciał otwierać nasz region na świat, stymulować jego rozwój, zapewniać dostęp do nowoczesnej myśli i technologii.

Był twórcą i inicjatorem powstania w 2007 roku dokumentu „Program rozwoju sieci lotnisk i lotniczych urządzeń naziemnych”, który stał się m.in. podstawą do aplikacji o środki unijne a także dokumentem porządkującym pojęcia związane z systemowym podejściem do infrastruktury lotniskowej i nawigacyjnej w kraju. Jeździł po całym kraju ucząc lokalne władze jak zarządzać lotniskami regionalnymi. Przygotował autorski projekt ustawy pozwalającej zagospodarować na cele lotnictwa cywilnego przez samorządy lokalne tereny po byłych lotniskach wojskowych – dotyczyło to przede wszystkim opuszczonych i marniejących lotnisk opuszczonych przez żołnierzy radzieckich.

Walczył z pozostałościami po systemie komunistycznym w różnych dziedzinach życia. Znany był ze swojej krystalicznej uczciwości. Z biznesmenami i politykami nie umawiał się w restauracjach, a na spotkania służbowe zabierał podległych mu urzędników, aby rozmowy były jawne i aby wykluczyć próby korupcji lub innych nacisków. Nie zabiegał o dobry samochód służbowy i inne apanaże.

Pewnego dnia w Niemczech usłyszał, że samolot do Polski nie może planowo odlecieć, gdyż „polska przestrzeń powietrzna nie jest w stanie go przyjąć”. Problem ten wynikał z małej ilości i przepustowości polskich korytarzy powietrznych. Zawsze podkreślał, że „niebo nad Polską jest dobrem wspólnym” sprzeciwiając się faktowi, że do 2006 roku wszystkie przychody z korzystania z naszego nieba – przychody, które choć w części powinny finansować jego rozwój - otrzymywało lotnisko „Okęcie”. W 2006 roku był twórcą ustawy o Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej – nie tylko stworzył ją na papierze, ale również powołał ją do życia budując jej skład kadrowy i majątek – tym samym, jak mówiono, „otworzył niebo nad Polską”,

gdyż ustawa ta umożliwiła finansowanie budowy i rozwoju korytarzy powietrznych dla samolotów latających nad Polską.

Przez całe życie pracował jako naukowiec – zajmował się językami assemblerowymi oraz przemysłowymi systemami czasu rzeczywistego. Zainicjował powstanie Centrum Kształcenia Kadry Lotnictwa Cywilnego Europy Środkowo-Wschodniej na Politechnice Śląskiej w Gliwicach i pełnił funkcję Przewodniczącego jego Rady Naukowo-Programowej. Spodziewał się, że rozwijające się lotnictwo cywilne będzie potrzebowało kadr. Przewidywał powstanie Centralnego Portu Komunikacyjnego, choć walczył o to, aby zbudować je w oparciu o lotnisko w Pyrzowicach, obecnie MPL „Katowice”. Miał na to rozwiązanie wiele merytorycznych argumentów. W 2010 roku, jako specjalista do spraw lotniczych, mając w tym środowisku wielu przyjaciół, z którymi się konsultował, był przekonany, że „katastrofa smoleńska” była udanym zamachem Federacji Rosyjskiej na Prezydenta RP a tym samym na Państwo Polskie. Niewielu ludzi mu wierzyło.

Kilka miesięcy później zginął nagle, z ręki chorego na schizofrenię syna, która to choroba objawiła się nagle i niespodziewanie w tak tragiczny sposób. Jestem jednak przekonana, że gdyby dano mu wybór, dobrowolnie przyjąłby na siebie ten cios, aby chronić innych. Orzeczone całkowitą i niezawinioną niepoczytalność mojego brata w tamtym momencie.

W pamięci mieszkańców rodzinnego miasta – Rybnika – zapisał się szczególnie jako harcmistrz, wychowawca młodzieży, jachtowy kapitan żegluga wielkiej, człowiek o wielkiej sile wyobraźni i szerokich horyzontach. Działania, które inicjował rozwijają się do dziś i służą dobru lokalnej społeczności. W 1969 roku reaktywował 6 Harcerską Drużynę Żeglarską im. kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego i prowadził ją jako drużynowy przez osiem kolejnych lat – drużyna do dziś odnosi wiele sukcesów i wychowuje kolejne pokolenia młodych ludzi. W 1971 roku „szóstka” dokonała pierwszego spłynięcia rzeki Rudy od Rybnika do jej ujścia – rzeki Odry. Szlak ten na stałe wpisał się w Chorągwaną imprezę ZHP - Odrzańskie Spływy Wiosenne i otrzymał nazwę zasłużonego Rybniczana – płm Stanisława Wolnego “Baranka”. Dziś kajakowe spływy Rudą są znaną atrakcją turystyczną miasta. W 1972 roku rozpoczął zakończoną sukcesem walkę o zorganizowanie Harcerskiej Stacji Wodnej nad nowo powstałym zalewem Elektrowni Rybnik. Stacja ta do dziś służy młodzieży. Jako kapitan poprowadził wiele szkoleniowych żeglarskich rejsów morskich dla harcerskiej młodzieży.

Przez całe życie mieszkał w Rybniku, w swoim domu rodzinnym na ulicy ks. Henryka Joński. Czasem wyjeżdżał na krócej lub dłużej – zawodowo najczęściej do Gliwic, Pyrzowic, Katowic i Warszawy, z harcerzami żeglował po morzach - Bałtyckim i Północnym, a w czasie wolnym podróżował do Kenii, Chin, Afryki Południowej, Peru, Boliwii, Meksyku, Maroka, USA, Indii, Nepalu, Jordanii, Tajlandii, Malezji, Singapuru, Indonezji czy Etiopii.

Pełniąc funkcję wiceministra cieszył się, że nie należy do żadnej partii i nie musi jak jego koledzy brać udziału w wielogodzinnych naradach sobotnio-niedzielnymi. Od poniedziałku do piątku pracował po 12 godzin dziennie, a czasem i dłużej, mieszkając w Warszawie. Na weekendy wracał do domu, do Rybnika. Dużą była w tym zasługa mojej Mamy, Lidii, która potrafiła w domu stworzyć atmosferę pełną wzajemnego szacunku i zrozumienia. Mieszkańcy dzielnicy Nowiny-Maroko mogli prawie zawsze spotkać Go w niedzielę na Mszy Świętej o godzinie 9:30 w kościele pod wezwaniem św. Jadwigi.

Porządkował i digitalizował zdjęcia rodzinne, chętnie słuchał opowieści o przodkach, dbał o relacje z rodziną bliższą i dalszą. Niedługo przed śmiercią zorganizował spotkanie swojej klasy licealnej. Miał wielu bliskich przyjaciół i cieszył się na spotkania z nimi. Chciał, abym zrozumiała, czym dla człowieka są jego korzenie. Nasz dialog wciąż trwa.



Projekt współfinansowany przez

